

Eryk Ragus

„Na rozdrożu”

W DROGĘ BEZ MAPY

Siekący od rana deszcz zamienił pobliską okolicę w błotniste jezioro. Adam sterczy na rozstaju dróg z rękami schowanymi w kieszeniach płaszcza. Ciemne, prawie czarne niebo rozbłyskuje od uderzających piorunów.

- W prawo, czy w lewo? - zastanawia się na głos. - Tak, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie...

OBRAZY

Jest niedziela, czyli tak zwany dzień rodzinny. Wsiadam do tramwaju, tego nowoczesnego, projekt prosto z Francji, a wraz ze mną garstka ludzi. Drzwi zasuwają się, po czym maszyna z cichym, nie zdradzającym wysiłku sykiem rusza. Za oknem z coraz większą prędkością przewijają się obrazy. Choć zupełnie nie zwracam na nie uwagi, widzę doskonale każdy szczegół. Znam te obrazy na pamięć.

Panorama czarnych jak węgiel, miejscami obdrapanych z tynku kamienic. Za brudnymi szybami brudne firany, zieleni jak na lekarstwo. Od czasu do czasu budynek, od lat przeznaczony do rozbiórki - niedbale zamurowane wejście, zabite dechami okna. Wszędzie graffiti albo wymalowane sprayem grypsy - "życie jest jak papier toaletowy - długie i do dupy". Dominuje atmosfera totalnego przygnębienia. Widok merdającego ogonem, rozszczekanego kundla wywołuje na mojej twarzy żałosny uśmiech.

Po wyjechaniu na peryferia pierwsze, co rzuca się w oczy, to zahaczające o niebo kominy. Część z nich dymi szaroburo, część skończyła z tym jakiś czas temu (minister zdrowia ostrzega...). Pod nimi zgrupowania tak identycznych bloków, że ma się wrażenie, iż twarze ludzi w oknach również nie różnią się niczym. Urozmaicenie? Hipermarket albo stacja benzynowa.

Jedno miasto leży zaraz obok drugiego, więc jeśli nie patrzysz na znaki, to nie wiesz, kiedy przestępujesz granicę między jednym, a drugim. Pola? Lasy? Od czasu do czasu jakiś marny skrawek zieleni, ostatni bastion natury, padający pod naporem cywilizacyjnego syfu. Jutro albo pojutrze postawią tu monopolowy. Psy, zamiast na drzewa, będą szczać na latarnie, a gromadkę rozbawionych i brudnych dzieci zastąpi gromadka nie mniej rozbawionych i brudnych pijaczków.

* * *

W czasie letniej kanikuły miasto było miejscem niezdatnym do życia. Na ulicach panowała spiekota, w domach zaduch, więc i tu, i tam człowiek czuł się po prostu wyciśnięty z życia, które kroplami potu spływało po skórze. Senność malowała się na twarzach mieszkańców, ale niewiele kto spać potrafił. Nawet podwórkowy pijaczyna mętłym wzrokiem kontemplował spod bzu otoczenie, choć zwykle o tej porze wychrapywał mrówkom rytm w ich codziennej pracy. Z przekleństwami na ustach wachlowałem się gazetą.

Na szczęście po południu zaczęło wiać. Ze wschodu nadpłynęły piękne, białe cumulusy. Ludzie raptownie odżyli. Na ulicach zaroiło się od spacerowiczów i rozwrzeszczanych grupek małałatów. Idąc za ich przykładem, założyłem buty i wolno ruszyłem w kierunku parku.

Wszystkie ławki zdążyły już zająć zakochane pary, na plac zabaw hurmem wdarła się miejscowa dzieciarnia, a zazwyczaj ciche i ustronne miejsca okupowali pijackowie. Miałem wrażenie, że wszyscy spoglądają na mnie z dziwną podejrzliwością. Pewnie dlatego, że nikogo nie prowadziłem za rękę, nie niosłem wiaderka i łopatki ani nie śliniłem się do wina marki "Wino". Utkwiłem wzrok w ziemi i ruszyłem w kierunku domu, miejsca, w którym ostatnimi czasy czułem się równie nieswojo.

Kilkanaście kilometrów od centrum okręgu przemysłowego ciągnęły się pola i łąki. Minąwszy ostatnie betonowe zabudowania, człowiek przechodził w zupełnie inną krainę, jak bohater "Niekończącej się opowieści". Jeśli ktoś spędził większość życia pomiędzy szarymi ścianami kamienic i bloków, to w miejscu tym dostrzegał najprawdziwszą magię. Teraz była dobra chwila, aby jej zakosztować. Na jednej z łąk, różniącej się od innych wypukłym kształtem, stał wysoki kopiec. Być może nosił jakąś nazwę, lecz dla mnie od zawsze był Szczytem Czarownic. Roztaczał się z niego malowniczy widok na okolicę; przy asfaltowej drodze żółciły się smugi kaczeńców, a dalej, nieopodal pól pszenicy, na falach trawy pływały wysepki chabrów, gdzieniegdzie upstrzone makami.

Szczyt tegoż kopca wieńczyła drewniana budowla, przypominająca altanę, ale o zupełnie niegeometrycznym kształcie. Została ona skonstruowana w taki sposób, że gdy wiatr wleciał do jej wnętrza, przez chwilę krążył w nim panicznie, nim zdołał się wydostać. Dach altany od spodu pokrywały ciągi dziwacznych symboli,

być może będących zwykłym ornamentem, ale ja w głębi duszy czułem, że mogą one coś oznaczać.

Wtaczając rower pod stromizną, przekląłem się za idiotyczny pomysł przyjechania tutaj, tym bardziej, że słońce znów wyjrzało zza chmur. Prowadząca na szczyt droga miała jakieś dwieście metrów i gdy wreszcie się nań dowlokłem, w nogach czułem doskonale każdy z nich. Jak długi ległem na zimne deski altany. Do wieczora pozostawało dobrych kilka godzin, więc postanowiłem chwilę się zdrzemnąć. Jednak pomimo usilnych starań, nie potrafiłem zmrużyć oczu. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że zmęczenie opuszcza mnie nad podziw szybko i już po chwili czułem się świetnie, choć gdy tu przybyłem, umierałem ze zmęczenia. Czyżby sprawił to przedziwny mikroklimat tego miejsca?

Czas upływał mi na rozgryzaniu dziwnych symboli, co wbrew pozorom zupełnie mnie nie nużyło. Postanowiłem zabawić się w kryptologa i każdemu znakowi przyporządkowywałem jakąś literę. Naturalnie wychodziły z tego same brednie. Gdy słońce dotknęło linii horyzontu, nadszedł czas, by wracać. Podniosłem się z wciąż zimnych desek, choć przecież powinienem był nagrzać je ciałem. Zakręciło mi się w głowie. O mało co nie wylądowałem z powrotem na ziemi, ale cudem utrzymałem równowagę. Przez moment miałem nawet wrażenie, że pomógł mi w tym wiatr, który raptem wtargnął do altany. Wraz z nim przyszła fala orzeźwienia, jakie towarzyszy człowiekowi, gdy zaraz po przebudzeniu wyjdzie na taras wysokogórskiej posiadłości.

Nieśpiesznie ruszyłem w dół. Było mi dziwnie lekko, jakby podmuch wciąż trzymał mnie w swych ramionach.

Zaraz za kopcem ciągnęła się szarą wstęgą dwupasmówka, wzdłuż której rósł równy jak na defiladzie szereg topoli. Asfalt nie zdążył jeszcze ostygnąć i widać było nad nim falujące powietrze. Zwykle o tej porze, szczególnie w niedziele, pędziło tą drogą mnóstwo samochodów. Dziś wyjątkowo świeciła pustkami. Gdy postawiłem na niej stopę, do moich uszu dotarła cicha muzyka. Rozejrzałem się, mocno rozkojarzony, ale nie dostrzegłem nikogo, zaś muzyka stawała się coraz głośniejsza. Nie trwało długo, nim ją rozpoznałem. Stojąc na środku drogi, wpadłem w dziwny trans - począłem nucić bezwiednie tę piosenkę, coraz głośniej, coraz głośniej...

I see trees of green, red roses too

I see them bloom for me and you

And I think to myself, what a wonderful world

*I see skies of blue and clouds of white
The bright blessed day, the dark sacred night
And I think to myself, what a wonderful world*

*The colours of the rainbow, so pretty in the sky
Are also on the faces of people going by
I see friends shakin' hands, sayin' "How do you do?"
They're really saying "I love you"*

*I hear babies cryin', I watch them grow
They'll learn much more than I'll ever know*

And I think to myself...

Powietrze rozcina rozpaczliwy wrzask klaksonu. Pisk opon. Samochód. Jaki kolor? Jaka marka? Skąd?! Uderzenie. Eksplozja bólu nie do opisania. Tracę zmysły. Huk, niesamowity huk, pękające bębny. Co się dzieje, co się dzieje?! Leżę skulony na gorącym asfalcie. Cierpienie powoli ustępuje, zaczynam jasno myśleć. Wzrok mam skierowany w miejsce, gdzie samochód przetestował swą wytrzymałość na pniu topoli. Nie wyszedł na tym najlepiej - maska wgniotła się aż do okna, jakby w ogóle jej nie było. Na kierownicy leży głowa. Pocięta okruchami szkła twarz młodej kobiety. Ile ma (miała) lat? Dwadzieścia? Może trochę więcej. Otwarte do krzyku usta, krew spływająca ciurkiem po policzkach i te oczy...

Musiała być jeszcze bardziej zaskoczona ode mnie.

...what a wonderful world,

Yes, I think to myself, what a wonderful world...

Magnetofon skrzeczy w kółko te same dwa wersy.

Widziałem i słyszałem wszystko z odległości kilkunastu, a może kilku metrów - nie wiem. Nie wiem, kim (czym?) byłem, czy jeszcze człowiekiem, czy duchem... Leżałem na rozgrzanym asfalcie - czułem jego ciepło! - nie potrafiąc poruszyć żadną częścią ciała. Tylko umysł miałem sprawny. Patrzyłem na ten obraz: twarz, powyginany metal, szkło, krew, para buchająca z silnika, który znalazł się pod brzuchem tej dziewczyny. Syk, syk, syk... para syczy... Czas przestał istnieć, ale widziałem słońce, która powoli zniknęła za horyzontem. A potem -

rozkojarzone krzyki, lament, płacz, syrena karetki, nerwowa wymiana zdań pomiędzy lekarzami.

- On już nie żyje.

- Jak to nie żyje?! Przecież widzę tę twoją zapyziałą mordę! Jak to - nie żyje?! Żyję, pokażę ci, że żyję!!! - chcę krzyknąć, ale język odmawia posłuszeństwa.

A oni tylko kiwają bezradnie głowami.

Może powinienem był wtedy umrzeć?

Może tak byłoby najlepiej?

Niesamowitym wysiłkiem woli poruszam powieką.

- Poruszył powieką, widziałeś?! Pakuj go do karetki!!! Szybciej, kurwa, szybciej!!!
Krew na białych rękawiczkach.

* * *

Wszystko, co działo się wokół mnie, zacząłem rejestrować z taką dokładnością, jakbym nagle zyskał jakiś nadnaturalny zmysł. Syrena drze się wniebogłosy, karetka pędzi. Słyszę mijane samochody, ich marki i pojemności silników. Jestem wszędzie i nigdzie; wszystkim i niczym.

Lekarze rozgorączkowani. Jeden z nich wyjmuje zza pazuchy piersiówkę. O co tyle krzyku? Dajcie mi zdechnąć w spokoju.

Wyciągają mnie na noszach, pędzimy na OIOM. Kiedy był wypadek? Pół godziny temu? Więcej? Podobno mózg umiera po kilku minutach, czterech czy pięciu, więc czym teraz myślę?

Jeden z nich krzyczy - Delikatnie! - i przerzucają mnie na stół jak worek kartofli.

- Ile?!

- Dziesięć minut.

- To po cholere go tu przywozicie?!

- Nie wiem... Ruszał, ruszał powieką, coś z nim nie tak... Dziesięć minut, zdarzało się...

- Choćbym go odratował, zrobicie z niego, kurwa, kalekę! Rany boskie, trzeba było od razu do kostnicy! Ucz się, chłopie, ucz...

Przytyka mi do piersi jakieś żelazka. Elektrowstrząsy? Chyba tak. Jakby zatrzęsło, ale nic poza tym. Zero bólu. Jeszcze kilka razy.

- Nie da rady...

Stoją nade mną i kiwają ze zrezygnowaniem głowami. Czemu jeszcze tu jestem? Czemu nie latam pod sufitem? Gdzie tunel ze światłem? Teraz czuję, że powinienem wydostać się z ciała, ale nie potrafię. Coś mnie trzyma w środku. Jak ten wiatr, wiatr w altanie... Wiatr, który jednak w końcu ucieka.

CHCĘ STĄD WYJŚĆ!!!

I wtem - jakbym się obudził. Odzyskałem... ciało? Siebie? Mniejsza o to. Splunąłem krwią prosto w pysk tego od elektrowstrząsów. Ale mają miny. Co, cudu nie widzieliście?!

To była moja ostania myśl. Niespodziewany atak bólu pozbawił mnie przytomności.

SNY NA JAWIE

Często się zastanawiam, co ja tu w ogóle robię. W tym świecie górników i hutników, twarzy szarych o tak podobnym wyrazie, że wyglądających na duchowe klony. W świecie, w którym nic się nie dzieje, w którym co prawda są knajpy i dyskoteki, biblioteki i czytelnie, ale nic ponad to. Leniwie egzystują, dając rozrywkę tym, którzy zdążyli się przyzwyczaić do wszechobecnego przygnębienia; tym wpasowanym w schemat.

Często zachodzę w głowę, co robię w świecie, w którym paszcze kominów wydychają najgorszy syf, a jedyną muzykę grają rozdzwaniające się co chwilę komórki. W tym... Mordorze, krainie z czarno-białego ekranu.

Choć daleko mi do fatalizmu, to czuję się spętany. Jakby to miejsce było mi przeznaczone do grobowej deski. Muszę stąd uciec, nim sam przybiorę postać orka. Muszę, lecz nie potrafię. Czy więc jestem tak beznadziejnie głupi, czy rzeczywiście ktoś już mnie przekreślił?!

* * *

Stałem się obiektem plotek z gatunku "Strefa 51", tym bardziej emocjonujących, że można mnie było dotknąć i pogłaskać, co zresztą bez skrupowania czyniono. Być może miałbym to komuś za złe, ale sęk w tym, że według wszelkich norm medycznych powinienem w tej chwili stanowić pożywkę dla robaków. Tymczasem spacerowałem w najlepsze po mieście bez żadnego trwałego ubytku na zdrowiu. Nawet złamania i zadrapania znikły, zanim na dobrą sprawę poczułem, że je mam.

Byłem więc dziwołagiem i wcale nie próbowałem temu zaprzeczać. Tylko że skutki wypadku sięgały dalece głębiej, niż mi się początkowo wydawało. Pewnego upalnego dnia, gdy leżałem na parkowej polanie z twarzą zasłoniętą słomianym kapeluszem, usłyszałem szept. Zerwałem się na równe nogi, bo myślałem, że jestem tutaj sam. Byłem, a mimo to głos nie milkł. Początkowo uznałem go za urojenie, szum wiatru w koronach drzew, który mój umysł zinterpretował jako słowa. Problem polegał na tym, że szept trwał, choć przestało wiać. Zacząłem się rozglądać za kimś, kto stroi sobie ze mnie żarty, ale w pobliżu nie dostrzegłem miejsca odpowiedniego na kryjówkę.

- Słyszę cię! - zawołałem mimo to. - Wychodź, gdziekolwiek jesteś, no wychodź! Nikt się nie pokazał, ale nadal nawoływał, jakby odważnej... Powoli zaczynałem rozróżniać słowa, lecz co znaczyły? Języka, w którym je wypowiedano, nie znałem. Przypominał jakieś narzecze afrykańskiego plemienia, o którym pewnie oglądałem dokument na National Geographic.

Mimo tego, że nic nie rozumiałem, podświadomie wiedziałem, co każe robić mi szept. Bo gdy już biegłem, wtedy się zorientowałem, że on r o z k a z u j e! Choć przestałem widzieć cokolwiek, to odnajdywałem drogę bez kłopotu. Od czasu do czasu ukazywały mi się pojedyncze obrazy, które jednak znikwały niemal natychmiast i musiałem zgadywać, co przedstawiały.

Zgadywałem tak: dom, rower, śródmieście, peryferia, szara wstęga dwupasmówki, topole jak na defiladzie, kopiec, drewniana budowla, zawsze zimne deski. Dziewięć obrazów, a potem ciemność. W niej mój szybki, urywany oddech. Nie wiem, ile to trwa, ale długo. Za długo. Gdy wracają mi zmysły, leżę wpatrzony w symbole na suficie. Podłoga wcale nie jest zimna. Jest gorąca i drży rytmicznie. Uderzenie za uderzeniem, jak... bicie serca. Wtedy zdaję sobie sprawę - w tym kopcu coś żyje! Nie, to żyje s a m k o p i e c!

Obracam się na brzuch i całuję deski. Dlaczego to robię? Bo tak trzeba! ..jestem tu, jestem, mój Panie, przy tobie, na zawsze, ja ci się oddaję... Szepczę jakąś pogańską modlitwę, a Pan słucha i odpowiada coraz mocniejszymi uderzeniami. Znów odzywa się głos w tym obcym języku, który rozumiem, ale na

pewno nie umysłem. Koduje mi w głowie tony informacji, zaś wśród nich rozkazy, zakazy, modlitwy...

I wtedy - bum! - eksplozja zagłuszającej ciszy, ciszy prawie nie do zniesienia. Tylko wiatr szumi. Krąży tam i z powrotem, próbując się wyrwać z pułapki. Czar przysł, już nie wiem, co się działo, już nie pamiętam modlitw, zakazów, rozkazów. Mimo to jednego jestem pewien - one wciąż są w mojej głowie. Wiem o jeszcze kilku innych rzeczach, ale pragnę o nich szybko zapomnieć. Jakbym się bał, że zmaterializują je myślą.

* * *

Pod wieczór wróciłem do domu. Matka przywiała mnie ciepłym spojrzeniem, a ojciec nawet nie raczył wyrzeć zza gazety. Dwadzieścia lat - tyle właśnie miałem i nadal mieszkalem z rodzicami. To był największy problem, z jakim nie potrafiłem sobie poradzić. Dawno już planowałem wynieść się stąd - nie tylko z tego domu, ale i z tej zanieczyszczonej dziury - lecz z jakichś powodów cały świat chciał mi w tym przeszkodzić.

Padłem na łóżko. Nadal miałem problem z zebraniem myśli do kupy. Powinienem się bać, ale to, co się wydarzyło tego dnia na kopcu, bardziej mnie fascynowało, niż przerażało. Fascynowało podobnie, jak bezchmurne nocne niebo, gdy miałem kilka lat. Nigdy nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek coś mnie zaabsorbuje do tego stopnia... Nawet nie zafascynuje, to mało powiedziane. Zawładnie moją duszą. Teraz to uczucie miało jeszcze większe natężenie, niż wtedy, gdy byłem brzdącem. Dlaczego? Ponieważ od kilkuletniego dziecka różniło mnie poczucie rzeczywistości, zaś jedno wiedziałem na pewno - to wszystko nie miało prawa się wydarzyć.

Przeleżałem dobrą godzinę, aż za oknem całkiem ściemniało. Otworzyłem je, wpuszczając do pokoju wiatr, intensywnie pachnący trawą. Gwiazdy świeciły jakby jaśniej, niż zwykle. Pamiętam, że gdy byłem mały, bardzo pragnąłem się dowiedzieć, kto wymienia w nich baterie.

Lubiłem na nie patrzeć, choć nigdy nie interesowały mnie lekcje astronomii. Tu Mały Wóz, tam Wielki, Pas Oriona - na tym kończyła się moja wiedza. Zawsze uważałem, że nazwy są dobre dla żeglarzy. Każdy powinien sam odnajdywać konstelacje i tworzyć dla nich imiona, bo to pobudza wyobraźnię, pozwala z pozornie chaotycznych kształtów wyłuskać porządek. Tak, tylko w ten sposób można prawdziwie docenić piękno nocnego nieba.

Naraz ogarnęło mnie zmęczenie. Nie, nawet nie zmęczenie, o dziwo po tak intensywnym dniu czułem się wcale nieźle. Po prostu powieki zaczęły mi ciążyć, tak bardzo, że bez kolacji i prysznic zrzuciłem z siebie ciuchy i wskoczyłem pod kołdrę. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek zasnął tak szybko, jak wtedy. Miałem zwyczaj leżeć w ciemnościach co najmniej kilka minut, kontemplując nad tym, co akurat zaprzętało mi głowę.

Tym razem to, o czym rozmyślałem przed zaśnięciem, pojawiło się również po, ale zniekształcone bardziej od scen z obrazów Picassa.

* * *

Wcześniej tego dnia, gdy wracałem z kopca, spotkałem starą Rywańską. Wciąż zdumiony ostatnimi wydarzeniami, nie zauważyłem, jak wychodzi mi naprzeciw. Kiedy się mijaliśmy, jęzga warknęła coś pogardliwie. Spostrzegłem ją i już wiedziałem, na co się zanoszą. Mówię: "Ach, dzień dobry! Przepraszam, zamyśliłem się...", a ona - dawaj! - od najgorszych mnie, że teraz młodzi tacy niewychowani, że chłopcy chodzą z rękami w kieszeniach, panny w za krótkich spódniczkach, a na ulicach nie jest bezpiecznie. Na pewno nie wtedy, kiedy chodzą po nich takie, jak ty, pomyślałem.

Chcąc jak najprędzej zakończyć tę farsę, grzecznie przytakuje i przepraszam, tłumacząc, że to się nie powtórzy, że to tak przypadkiem... Ale ona nie słyszy, zaczęła swoją tyradę i nic nie jest w stanie jej przerwać, może oprócz bomby spuszczonej na czubek jej głowy. Sprawiała wrażenie, jakby tylko jedna rzecz dawała jej w życiu satysfakcję - słuchanie własnego głosu.

W końcu dała sobie spokój i choć nie miałem zegarka, wiedziałem, że trwało to co najmniej kwadrans. Ukłoniłem się i na wszelki wypadek jeszcze raz przeprosiłem. Właściwie nie wiem, po co, bo babsko tak czy inaczej poleci wyżalić się mojej mamie i przy okazji skrytykować nowego proboszcza. Właśnie o tym spotkaniu myślałem, gdy kładłem się spać. Nie wymyśliłem wiele. Nie musiałem - resztę dopełniła wyobraźnia.

SNY

Sny to więcej, niż barwne filmy. Zawierają głębokie, ukryte znaczenia. A może to jest tak, że sami nadajemy im sens? Że z kształtów i kolorów tworzymy obrazkowe pismo, głęboko zakorzenione w naszej psychice jeszcze z epoki jaskiniowej? Może to, co widzimy podczas tego stanu oderwania od rzeczywistości,

jest tylko kolorowymi puzzlami, które do siebie nie pasują, ale które uciskamy tak długo, aż utworzą całość? Abstrakcyjny obraz, w którym doszukujemy się znaczeń, bo ich potrzebujemy?

* * *

Najpierw ziemia, niebo, kartonowe ściany. Stół, krzesło, kuchenka, piekarnik. Świat się tworzy z pojedynczych elementów. Później postaci. Jedna, druga - rozpływają się, falują, jakby wykonane z gumy. Na koniec błysk - i już wszystko jest realistyczne, choć z realnym światem nie ma nic wspólnego.

Postaci chodzą po kuchni dziwnie sztywno, ale po krótkim czasie nabierają swobodnych, ludzkich ruchów. Mini-ewolucja w dziesięć sekund. Zaczynają mówić i - jak się Adam spodziewał - z ich gardeł wypływają pojedyncze nuty. Jeszcze chwila, a przejdą do słów, ze słów do zdań. Tak się rzeczywiście staje. Ona, kobieta, na początku bezimienna, przybiera rysy starej Rywańskiej, które jednak ulegają zmianom, wygładzeniu.... I oto jest - stara Rywańska trzydzieści-latek wcześniej, jeszcze zanim uwiędła. On, jej mąż, to człowiek energiczny, któremu źle z oczu patrzy. Taki ktoś, komu się nie podskakuje, ale tylko wtedy, gdy się go nie zna. W rzeczywistości zgrywa mocarza dopiero z czymś cięższym w rękę. Kawał chama i gnoja, mający o sobie zbyt wysokie mniemanie. Takim powinno się na plecach przyklejać karteczkę - "przeznaczony do odstrzału". Bez nich, jak bez wesz - życie jest zdecydowanie przyjemniejsze.

Stara-młoda Rywańska stoi nad garnkiem z wielką drewnianą łyżą i miesza nią beznamietnie, jakby mieszała powietrze. Jej lepsza połowa analizuje przy stole gazetę. Cisza i spokój, ale w powietrzu wyraźnie wisi awantura. Każde wydarzenie musi mieć jakiś łatwo definiowalny moment początkowy, punkt odniesienia dla badaczy historii. Toteż gdy lepsza połowa chrząknęła, Rywańska uznała, że właśnie nadeszła taka chwila.

- Dlaczego nazwałeś wczoraj Alę... pizdą? - pyta, a ostatnie słowo nie chce jej przejść przez gardło.

Mąż odkłada gazetę na stół.

- O co ci chodzi? - zdaje się nie rozumieć.

Kobieta już ma łzy w oczach, ale zaciska zęby, przełyka ślinę i mówi dalej, jakby swobodniej. To tylko pozory.

- Nazwałeś Alę pizdą. Dlaczego? Co ci znowu zrobiła?

- Ona? Niech mnie nawet nie wkurwia.

- Rany Boskie, to twoja córka!

- No i co z tego? - Lepsza połowa zaczyna się niecierpliwić.
- Jesteś gnojem, wiesz? - syczy Rywańska.
- Jak zwykle to ja jestem, kurwa, winny, jak zwykle po jej stronie stoisz!
- A po czyjej mam stać?! No co ci zrobiła, powiedz, do cholery, co?!
- Odpierdol się - odpowiada mąż z taką swobodą, z jaką kulturalni ludzie mówią "dziękuję" i "przepraszam".
- Sam się odpierdol... - szepcze kobieta przez łyzy. - Te, kurwa, nie pozwalaj sobie, ty... - entliczek pentliczek, wyliczankę czas zacząć - ...idiotko, szmato, pizdo, dziwko, kurwo...

W tym momencie dochodzi do przełomu w historii. Prosty lud dość ma ponizeń, dość zniewolenia. Lud pragnie wolności. Rywańska porywa patelnię, broń uciskanej kobiety i uderza nią bez zastanowienia w głowę męża. Pierwszy, drugi, trzeci raz... Mężczyzna jest tak zaskoczony, że nawet nie ma kiedy krzyknąć. Pada na podłogę, obryzgując beżowe kafelki niemal czarną posoką. Potem już tylko Monty Python, "Pies andaluzyjski", "Mechaniczna pomarańcza", surrealizm w ekstremalnym wydaniu sur. Najazd kamery na kafelki, zbliżenie, z góry sączy się krew. W tle płynie muzyka, hybryda wszelkich możliwych stylów z bezsensownymi słowami: coś o miłości Chrystusa, coś o zamachach terrorystycznych, coś o pomidorowej zupie.

Kamera wraca na miejsce akcji, gdzie lepsza połowa zamieniła się w ciepły, parujący placuszek. Rywańska to nie Rywańska, tylko jakiś tłok - wyprostowana, idealnie sztywna, z połyskującą skórą. Podskakuje jak młot pneumatyczny - rach-ciach! rach-ciach! rach-ciach! - przerabiając kolejne partie ciała męża na jednolitą breję. Muzyka osiąga szczyt, rozbrzmiewają chóry anielskie. Rywańska pada na kolana, wyrasta jej ogon, długie uszy i zaczyna chłeptać krew ukochanego pana. Unosi nogę, jakby chciała zaznaczyć teren, a potem...

Potem Adam budzi się, trupio fioletowy. Dyszy z przerażenia, ale dostrzegłszy, że jest już we własnym świecie, powoli odzyskuje spokój. Zanim mu się to do końca uda, słyszy w głowie chichot, a po nim ciche pytanie:

- Myślałeś, że czemu jest wdową?

* * *

Po tym śnie długo nie potrafiłem dojść do siebie. Zawierał on jakąś cząstkę autentyczności. Nie miałem pojęcia, jak dużą, ale instynktownie czułem, że

większą, niż mogłem sobie wyobrazić. Skąd takie przekonanie? Najprawdopodobniej kolejna konsekwencja wydarzenia na kopcu. Nie istniało inne logiczne wytłumaczenie, logiczne w m o i c h kategoriach rozumowania. Obiektywnie nic nie miało sensu.

No i szept... To on pozwolił mi dostrzec niezwykłość koszmaru. Odgrywał w nim kluczową rolę, choć rozbrzmiał już po przebudzeniu. Oczywiście, naszły mnie wątpliwości. Gdy nie potrafimy czegoś wytłumaczyć, to choćby było prawdziwe, po pewnym czasie uznamy to za wymysł chorej wyobraźni. Każdą powstałą w pamięci lukę będziemy wypełniać tak, jak nam jest wygodnie, aż w końcu dojdziemy do wniosku, iż nie było żadnego szeptu, a może nawet snu. Chyba, że wydarzy się coś, co utwierdzi nas w przekonaniu, że czasem niemożliwe staje się możliwe.

Nie było to bynajmniej jakieś nadprzyrodzone zjawisko. Nie, tak naprawdę jedyne, co zobaczyłem, to starą Rywańską, wredną babę, do której czułem już tylko współczucie. Tym razem to ona mnie nie spostrzegła, tępo wpatrzona w ziemię. Dopiero, gdy krzyknąłem - "dzień dobry!" - podniosła głowę. Wystarczyło jedno spojrzenie. Tak ulotna rzecz, a w tamtej chwili bardziej dla mnie wiarygodna od twardej materii, od ziemi, na której stałem i cegieł w pobliskim murze. W oczach Rywańskiej pisało wyraźnie: ja wiem. Wiem, że byłeś w mojej głowie, że widziałeś, teraz możesz zdradzić, możesz rozpowiedzieć, co ludzie pomyślą, nie chcę cię znać, odejdz, zniknij, zgiń, przepadnij... Tylko czekałem na potwierdzenie.

Opuściła głowę i skręciła w boczną uliczkę. Nie mówiąc nic, ani dzień dobry, ani o rękach, które trzymałem w kieszeniach. Jeśli do tej pory mogłem mieć jakiegokolwiek wątpliwości, to zostały one rozwiane. Wczorajszej nocy, nie wiem, jakim sposobem, znalazłem się w głowie starej Rywańskiej.

* * *

Ten sen nie był wyjątkiem, lecz później to już szło z górki. Brak zdziwienia, wszystko jest możliwe, więc najlepiej wzruszyć ramionami i czekać, co przyniesie kolejna noc. Nie ma sensu myśleć, nie ma co dochodzić prawdy, kiedy ta nie istnieje. Łapie człowieka dziwne otępienie, gdy się okazuje, że przestają obowiązywać jakiegokolwiek prawa, na czele z prawami fizyki. Kilka razy poszedłem na kopiec, ale zastawałem tam jedynie świszczący w altanie wiatr. Nic więcej. Kładłem się na deskach, dotykałem ich, słuchałem - i nic. Pustka. Jakby wszystkie wcześniejsze wspomnienia powstały w mojej wyobraźni. Albo... w moim śnie?

* * *

Cisza. Ciemność. Pustka. Trach, trach! Wypiętrzają się ściany, pojawia podłoga, na górę nakłada sufit albo wieczko pudełka. Jedno, dwa machnięcia niewidzialnego pędzla i obraz przechodzi w Technicolor. Uaktywnia się Dolby Surround, głośniki plują seriami metalicznych dźwięków.

Na podłodze stoją butelki jaboli. Z nich, otuleni parą, wylatują ludzie. W rytm pseudo-muzyki poruszają zalotnie ciałami, czasem chwytają za butelki, gdy zaś je opróżnią, wyrzucają za okno. W ciasnym pomieszczeniu ocierając się o siebie, a wraz z ilością wypitego alkoholu robią to coraz śmiej. Są anonimowi. Choć mają twarze, nikogo nie przypominają. Dopiero późną nocą wyodrębniają się z tłumu bohaterowie dramatu - Ona i On.

On jest typem macho, liczącym na łatwy numer. Ona całkiem inteligentną osobką z biednej rodziny, która szuka Księcia. Usprawiedliwia ją to, że ma dopiero szesnaście lat. Tylko jedno ich łączy - za dużo promili we krwi. Niby przypadkiem spotykają się w tańcu. Przebłyśki scen - spleceni na środku parkietu, dłonie wędrują wzdłuż ciał. On rzuca jej uśmiech, Ona nie pozostaje dłużna. To już wystarczający pretekst. Błysk w oku. Kiwa głową. ...chodź za mną!...

Idą. Pokoik, łóżko, butelka wina - prawie jak święta trójca. Standardowa rozmowa, doprawiona kilkoma siarczastymi łykami alkoholu. On siada bliżej, obejmuje ją, całuje. Czoło, policzek, usta, ucho, szyja... Kładzie ręce na guzikach. Ona się wzbrania delikatnie.

...czy to tak aby uchodzi?...

On nie przestaje, aż w końcu Ona ulega.

Wchodzi w nią gwałtownie, robi to beznamiętnie, kończy szybko. Rutyna, kolejna zaliczona laska. Będzie o czym opowiadać kolegom. Zapina rozporek i idzie na parkiet ocierać się o kolejną. Dwie w jedną noc! - ho ho, to ci dopiero wyczyn! Tymczasem Ona wciąż leży. Wie, że coś jest nie tak, ale ilość wypitego alkoholu utrudnia jej wykonycypowanie, co. Jakaś mglista myśl, jakieś podejrzenia... Zasypia. Gdy budzi się rano, rekonstruuje wydarzenia z poprzedniej nocy. Zaczyna płakać. Wtula mocno twarz w poduszkę, marząc o tym, żeby się udusić. Trach! Wilk z bajki o trzech świnkach zdmuchnął dom. Noc. Leje deszcz. Stoją razem w ciemnej bramie. Ona już powiedziała i teraz wyczekuje, ale On nie odpowiada. Wzrusza ramionami i odchodzi. Ona próbuje go zatrzymać, krzyczy, biegnie za nim. On się odwraca i rzuca od niechcienia: spierdalaj.

Kurtyna w dół, kurtyna w górę. Pomieszczenie, bez znaczenia jakie. Ważna jest ręka, żyłka i krew. Najważniejsza - śmierć.

* * *

Jak zwykle miałem nadzieję, że ten sen był snem najzwyczajniejszym, ale w głębi duszy wiedziałem, że już takich nie miewam. Każdy wpływał na rzeczywistość, na ludzi, którzy grali w nich główne role. A zawsze reagowali tak samo.

Spotkaliśmy się w knajpie. Podszedłem do Andrzeja i wyciągnąłem rękę, starając się nie patrzeć mu oczy. Nie musiałem.

- Spierdalaj.

Każda nuta tego słowa brzmiała dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy mówił do Niej.

Bo Andrzej to On.

- Spierdalaj - powtórzył. - Weź, kurwa, spierdalaj. S p i e r d a l a j. Tak się ode mnie odwracali. Wszyscy, bez wyjątku.

* * *

Każdy kolejny sen miał w sobie odrobinę więcej realizmu, jakby ktoś usilnie starał się uczynić z nich mój nowy dom. Powoli, acz konsekwentnie, wszystko do tego zmierzało. Jakże mogłoby być inaczej, skoro z nocy na noc realny świat stawał się dla mnie coraz bardziej obcy?

Nie było dnia, żeby na ulicy ktoś nie spojrział na mnie ze szczerą nienawiścią. To bolało, lecz co znaczy prawdziwy ból, poznałem jeszcze później. Gdy nienawidziła mnie rodzina, sąsiedzi i ekspedientki. Gdy w pewnym sensie nienawidziłem sam siebie za to, co widziałem, za to, co czułem.

Za te wszystkie złe uczynki, wszystkie gwałty, morderstwa, zdrady, wszystkie podstępny, oszustwa i kłamstwa. Ileż razy budziłem się zapłakany, czując cudzy ból, jakby to mnie go uczyniono, albo jakbym ja go uczynił! Jak tu żyć, kiedy każda napotkana twarz jest twarzą oprawcy albo ofiary? Kiedy nie ma już ludzi zwykłych, takich, którym mówi się "dzień dobry!", do których się można uśmiechnąć i zamienić z nimi dwa słowa?

Każdy z nich, choćbyś współczuł mu z całego serca, myśli: Ja wiem, ja wiem... Wiem, że ty wiesz! Że widziałeś!!! Zabija cię wzrokiem.

* * *

Błysk światła. Pierwsze wrażenie - gęsta dżungla, ale drzewa to tak naprawdę źdźbła trawy. Znieruchomiały pajak mierzy tyle, co dwupiętrowy budynek, a każda jego noga to uliczna latarnia. Podmuch wiatru szarpie pyłkiem, który w piruetach przebywa w powietrzu ogromny dystans - całe dziesięć centymetrów. Gdzie okiem sięgnąć, wznoszą się góry o stokach gdzieś łagodnych, a gdzieś stromych o jasnobrązowym kolorze. Niespodziewanie targa nimi wstrząs tak potężny, że zmieniają swój krajobraz - przesuwają się, wałą, wypiętrzają. To jednakże nie koniec dramatycznego przedstawienia - masyw górski nieruchomieje tylko na chwilę, by za chwilę poddać się kolejnym transformacjom. Jakby nieustanny ruch był mu przeznaczony.

Wielkie, cieliste chmury nadciągają nad doliny, granie i szczyty. Ich cień zwiastuje nieuchronną katastrofę. Spadają z impetem na ziemię, której harmonia kształtów zostaje zakłócona. Fala uderzeniowa zmiata pyłek. Szept wiatru, bzyczenie pszczoł, szelest liści... - wszystko to tworzy niepowtarzalną symfonię natury, zakłóconą ludzkim szeptem i jękami miłosnych uniesień. Kobieta pada na trawę, podkurcza góry, nogi, rozpościera ramiona i śmieje się, a kropelka potu ścieka w dolinie pomiędzy piersiami.

Pyłek unosi się w ramionach wiatru i leci, i leci, i leci... I ginie gdzieś daleko na tle szarości.

Błysk światła. Ciemny tunel. Oszałamiająca prędkość. Zakręt w lewo, zakręt w prawo... Sala o tak mało charakterystycznym kształcie, że niemożliwa do porównania z czymkolwiek. W jej wnętrzu znajduje się twór, który dopiero co zaczął kiełkować, ale który już teraz emanuje ogromną siłą. Z sekundy na sekundę pęcznieje, nabiera bardziej wyrazistych kształtów... i nagle czas drastycznie zwalnia. Dziwny twór pulsuje coraz szybciej. W tunel zagłębia się ostre narzędzie. Potem mają miejsce rzeczy, o których nie godzi się mówić. Strach, ból, krew... Śmierć. Sala straciła swojego króla.

Błysk światła. Znów płacz! Po policzku płynie łza, w której odbija się świat - ciasne, sterylne pomieszczenie, metalowe szafki, stół, narzędzia, zakrwawiona płachta... Łza spada na podłogę, lecz zanim w nią uderzy, na jej powierzchni ukazują się twarz młodej dziewczyny. Ta twarz należy do matki Adama.

* * *

Jaka była moja matka? Nie starczy słów, by ją opisać. Co do niej czułem? Nie starczy słów... Krótko - kochałem ją tak, jak tylko syn potrafi, ale bardziej za to, jaka była, a nie kim była. Posiadała wszystkie cechy, których potrzebowała dobra matka, czyli opiekunka, przyjaciółka, mentorka... Kilka wad bledło przy tych zaletach... i nie jest to bynajmniej opinia zakochanego w mamci synalka. Nie znałem nikogo, kto nie uważałby jej za wspaniałą kobietę.

Mimo wszystko czegoś między nami brakowało. Mawia się na to wspólny język. Nie potrafiłem z nią rozmawiać, choćbym nie wiem jak się starał. Nie z powodu odmiennych poglądów, nie - chodziło o coś zupełnie innego, o coś, co trudno wyjaśnić. O ten cały wspólny język.

Kochałem ją bezgranicznie. Tę matkę, z którą nie rozmawiałem, ale czego w gruncie rzeczy nie musiałem robić, bo świetnie się rozumieliśmy bez słów. Ta matka nagle stała się obca. Wroga. Pełna nienawiści.

* * *

Każdego wieczora przed zaśnięciem błagałem o dobry sen, choć nie łudziłem się, że moje prośby zostaną wysłuchane. Bo niby przez kogo? A jednak istniał ktoś, kto słyszał, kto chciał mi pomóc. Przyśniło mi się coś pięknego - jestem ja, a wokół mnie nicość. Czarna, bezkresna pustka, tysiąc razy bardziej pusta od kosmicznej próżni. Trwam w niej bez ruchu, a jedyna moja myśl brzmi: żeby tu pozostać na zawsze!!!

GWIAZDKA Z NIEBA

Pojawiła się dokładnie wtedy, gdy najbardziej jej potrzebowałem. Gdy powoli przestawałem wierzyć, że cokolwiek lub ktokolwiek może mi jeszcze pomóc. Ona pomogła, i to w ciągu kilku prawie niezauważalnych chwil. Była, jak... bramka na 1:1 w 90 minucie meczu o mistrzostwo świata.

Gdy ujrzałem, jak wychodzi z klatki pobliskiej kamienicy, przetarłem oczy ze zdumienia. Stała po bruku prawie jak anielica, choć wcale nie była aż tak piękna. Skąpana w świetle promieni słońca, lekko zarumieniona i lśniąca od kropelek potu, dostarczyła mi wrażeń... wyjątkowo głębokich. Aż zaparło mi dech w piersi. Zakochałem się? Za duże słowa, aczkolwiek bez wątpienia c o s do niej poczułem.

Na imię miała Agnieszka. Czyż nie cudownie?

Potem, jak to zwykle bywa, spotkaliśmy się przypadkiem i...

Jak wiedźma rzuciła na mnie urok. Jej oczy pochłaniały mnie, pożerały każdą moją myśl, każde słowo i westchnienie. Czułem się dziwnie skrępowany w jej obecności. Gdy się śmiała - jakże cudownie to robiła! - wiedziałem, że drwi ze mnie, z mojej wstydlivosti. Jednocześnie ta wstydlivosc pociągala ją. To była jedna z tych kobiet, które lubią wodzić mężczyzn za nos.

Miała w sobie coś z demona. Dzikie spojrzenie, drapieźność, czasem nieczulość... Zaś w głębi duszy była dziewczyneczką z kokardami we włosach. To właśnie tak mnie w niej fascynowało.

Chciałem, pragnąłem, musiałem ją mieć!!!

Moją a n i e l i c ę.

Moją d i a b l i c ę.

Widywaliśmy się często. Z początku te spotkania były niewinne, choć czego innego pragnąłem. Ona chyba też, ale trzymała mnie na dystans. Chwilowo, a przynajmniej taką miałem nadzieję. Spacerowaliśmy po łąkach i lasach, cały czas rozmawiając. Jednym razem o budżetach, innym o sprawach poważnych. Czasem jednak bez widocznej przyczyny milkła. Ucinała krótko każdą moją próbę nawiązania rozmowy. Nie protestowałem. Kiedy siedzieliśmy razem na brzegu polany czy pod drzewem, właśnie wtedy, gdy pragnęła ciszy, zdarzało mi się widzieć w jej oczach jakiś nieokreślony smutek. Nie miałem dość odwagi, by zapytać, czym był powodowany. Instynktownie czułem, że ona nie chce o tym mówić, że sprawiłoby to jej zbyt wiele bólu.

Poza tymi krótkimi, ale bolesnymi przerwami na zaczerpnięcie oddechu, żyliśmy razem rozgadani. Gdy się kochaliśmy po raz pierwszy, ani z moich, ani z jej ust nie padło ani jedno słowo. Wystarczył mi jej szybki, coraz szybszy oddech, który mówił więcej, niż najmądrzejsze księgi świata.

Było tak pięknie, że gdy zmęczony padłem na trawę, a ona położyła mi głowę na piersi, niemal wybuchłem płaczem radości.

Agnieszko, Agnieszko, tyś jedyną mą nadzieją, Agnieszko, Agnieszko, tyś łańcuchem, który przytwierdza mnie do tego świata.

* * *

- Widzę takie rzeczy, których nikt nie chciałby widzieć - mówię do niej.

- Wiem, wiem... - odpowiada naiwnie, ale szczerze i przytula się do mnie mocniej.

- Widzę najciemniejsze pragnienia, pragnienia ociekające jadem. Zło, samo zło... A najgorsze jest to, że oni... wiedzą. Widzą. Pamiętają. Czują! Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale ich oczy...

- Wiem, wiem... - Kiwa głową. Prawie mi jej żal. Głupia, ale szczerza, zawsze prawdziwa.

- Te oczy mówią wszystko. Mówią: wynoś się, nie chcemy cię tutaj, bo gotowyś jeszcze rozpowiedzieć. Każdy patrzy na mnie podejrzliwie, jak na zagrożenie, jak na i c h koszmar. Najlepsi przyjaciele... Ja chciałbym czasem... zniknąć. Budzę się, przekraczam próg domu i kolejny patrzy na mnie w t e n sposób. Każdego ranka. Jeden, plus jeden, plus jeden, plus jeden... Sto! Potem tysiąc! Jak to boli, jak to rani człowieka...

- Wiem, wiem...

Zaczyna mnie denerwować. Już mam ochotę warknąć, żeby się odczepiła, ale wtedy zdaję sobie sprawę, że za to ją Kocham - za to "wiem, wiem", cierpliwe "wiem, wiem" do samego końca. Za dotyk jej dłoni, jedną z niewielu rzeczy, która mi przypomina, że jeszcze mam po co tu być. Kładę głowę na jej ramieniu i płaczę jak dziecko, a ona głaska mnie po włosach i szepcze: "Nie płacz, ja wszystko wiem". Mam wtedy ochotę być jeszcze bliżej, ale bliżej już nie można. Podnoszę głowę i patrzę prosto w jej oczy. Mogę tak patrzeć godzinami, a ona nigdy, nawet na sekundę, nie odwróci wzroku.

I to jest najgorsze. To najbardziej przeraża. Kiedy ty, kiedy ty?!, myślę. Nigdy - odpowiadam sam sobie. TY - NIGDY. Pobożne życzenie...

* * *

Zasypiał z jej zapachem na rękach. Zapachem ostrych perfum, przemieszanych z delikatną wonią skóry. Potrafił je od siebie oddzielić, choć to brzmi niewyobrażalnie. A może tak mu się tylko wydawało?

* * *

Zaczyna się nietypowo - jest pustka, a w niej cała gama zapachów. One dają początek materii. Więdące róże roztaczają woń na poły życia, na poły śmierci. Wiatr, muskający ich smutne płatki, pachnie nieobliczalnością, stare meble zapomnieniem, a poduszka, na którą kapały łzy, niewypowiedzianą krzywdą. Ciasny pokój tonie w czerwonym świetle, które z zapadającym zmrokiem

przybiera odcień krwi. Przez otwarte okno wdziera się do pomieszczenia uliczny gwar.

Na korytarzu rozbrzmiewają kroki. Ich odgłos tchnie strachem, zgrzyt przekreślanego w zamku klucza zwątpieniem, a pierwsze stąpienie za progiem zrezygnowaniem. Gdy drzwi zostają zatrzaśnięte, wszystkie zapachy mieszają się ze sobą, tworząc smrodliwy opar nie do wytrzymania.

Pijany mężczyzna tłustym cielskiem pada na fotel, wzniesając chmurkę kurzu. Przez chwilę wodzi wzrokiem po stojącej przed nim kobiecie, jakby nie potrafił zdecydować, na czym warto by zawiesić oko. Nagle przemyka powieki i opuszcza głowę, ale pijacka czkawka szybko przywraca go do rzeczywistości. - Rooozbrzz... yck! sssiee... - duka, wykonując głową dziwaczne, falujące ruchy. Kobieta ściąga ubranie.

- Łaadn... yck! Ładnnnaa ess... teś. A teraa sieee po... yck! pouzzz... Kobieta kładzie się.

Pijaczyna wstaje, robi krok w kierunku łóżka i pada na nie jak kłoda. Rozpina z wysiłkiem rozporek. Odrobinę zsuwa spodnie i majtki. Wspina się na dziwkę z wysiłkiem nie mniejszym, niż alpinista zdobywający Mount Everest. Po krótkiej zabawie z celowaniem trafia tam, gdzie powinien. Rusza się ociężale, wyziewając smród wódki i zgnitych zębów prosto na twarz dziewczyny.

- Nooo... yck! daj buuzzi... cccka... - wywała na wierzch jęzor.

W następnej sekundzie wychyla się poza łóżko i puszcza pawia na wypłowiwały dywan. Patrzy na niego z dziwną podejrzliwością, po czym zsuwa się z kobiety i upada obok rzygowin.

- Tyyy... kurr... kurwooo. Chuu... kurrwaaa... yck! gówwnoo ci daam...

Próbuje wstać przez pięć minut. Gdy wreszcie daje radę, zygzakiem podchodzi do drzwi, otwiera je i wytacza się na korytarz. Chwilę później słycać głucho uderzenie.

Pachnący nieobliczalnością wiatr przewraca wazon z różami, który rozbija się w drobny mak o podłogę. Woń śmierci z minuty na minutę potężnieje. Kobieta na łóżku płacze. Dłonią wyciera policzki. Dłonią, przesiąkniętą zapachem ostrych perfum, przemieszanych z delikatnym akcentem skóry.

Adam zrywa się z łóżka, zalany gorzkimi łzami.

- Wąchaj, wąchaj dobrze - słyszy t e n głos. - Dobrze wąchaj, dobrze słuchaj, dobrze patrz. Nie wszystko jeszcze stracone.

Słowa, które mają dawać pocieszenie, są ostre jak brzytwa. Adam ponownie zasypia i ma sen piękny, bo niczego nie czuje, niczego nie słyszy, niczego nie widzi.

* * *

Budzę się najzupełniej zwykłego poranka, jak ten wczorajszy i jak każdy następny. Żadnym znaków na niebie i ziemi, a przecież nadchodzi kataklizm. Przechodząc obok okna przypadkiem zauważam ją - stoi pod bzem, gdzie rezydował pijaczyna, zanim mi się przyśnił.

Wkładam spodnie, narzucam na siebie koszulę i wybiegam z domu. Idąc w jej stronę, uśmiecham się niepewnie. Wyciągam do niej rękę, ale raptem muszę się zatrzymać.

- Ty... ty... ty też... - mówię, widząc oczy.

- Wiem, wiem... - odpowiada i jak gdyby nigdy nic, odwraca się i odchodzi. Boże, ona naprawdę wiedziała! Ona! Ta, która nie miała się nigdy dowiedzieć! Jakżem głupi był, jakże naiwny... Bo niby czemu to wszystko miało ją ominąć?! No - czemu?! Koniec, pętla się zacieśniła. Wiem to, bo nie mogę zaczerpnąć powietrza. Padam na kolana, zaduszony nienawiścią. Żeby to tak wyrzygać... Z twarzami, z głosami, z pamięcią wspólnie spędzonych chwil.

Pewnie tak czuje się spragniony do granic możliwości człowiek, który wyciąga rękę w kierunku oazy, a ona okazuje się być fatamorganą. Lament, cierpienie, płacz... Ale nie to jest najgorsze. Najgorszy jest brak nadziei. Gdy jej nie ma, śmierć nadchodzi szybko, a przecież za kolejną wydmą mogła się kryć najprawdziwsza oaza.

Agnieszka... była jak bramka na 1:1 w 90 minucie finału mistrzostw świata. Euforia trwała krótko. Przegrałem w karnych.

Szkoda, że nie zdechłem jak pies.

Próbowałem ze sobą skończyć - bezskutecznie. Brakło mi odwagi.

(BEZ)NADZIEJA

Różne są rodzaje samotności. Jest samotność, gdy mieszkasz sam jak palec, nie masz się do kogo przytulić i z kim porozmawiać. To ten lepszy, łagodniejszy rodzaj. Ale jest też samotność, gdy śpisz i jesz w domu razem z innymi ludźmi, i z nimi też nie możesz rozmawiać, też się do nich nie możesz przytulić. Traktują cię jak powietrze, albo nawet gorzej, bo powietrza potrzebują do życia, a ciebie - wcale. Jeśli wiesz, że jeszcze się pewne rzeczy da odkręcić, to wszystko jest w porządku. Gdy się nie da, to spadłeś na samo dno. Człowiek, aby przeżyć, często tworzy sobie

bezpodstawnie nadzieję. Ta nadzieja to nic innego, jak strapienie, obgryzanie paznokci, modlitwa o "dobre dni", które nigdy nie nadchodzą. Dlatego lepiej już być samotnikiem, bo wtedy myślisz: "jest jak jest, a żyć przecież jakoś trzeba"... I jakoś żyjesz.

* * *

Pogoda bywa zdradziecka; patrzysz w okno - słońce, bezchmurne niebo, ale wystarczy, że się na chwilę odwrócisz i nagle za twoimi plecami eksploduje grzmot. Lubiłem burzę, ten spektakularny pokaz sił natury. Siedzisz w ciepłym domu, wiedząc, że nic ci nie grozi, a jednocześnie masz świadomość, że wszystko dzieje się tak blisko. Kilka metrów, metr. Milimetry, gdy przykleisz nos do szyby. Powoli zmierzchało, ale burza nie ustawała. Huk, światła, szum deszczu... Łatwo się było zatracić w tym widoku.

Pufff - nagle czar przysł! Już stałem na zewnątrz. Jak do tego doszło?! Nie miałem pojęcia. Kamienica kilka kroków ode mnie, drzwi klatki otwarte, za próg wylewało się pasmo światła. Cholerna głowa, cholerna głowa... Migawkowe utraty świadomości - niby byłem, ale po chwili mnie nie było. Coś robiłem, a zaraz potem pojawiałem się zupełnie gdzie indziej.

Usłyszałem głos. T e n głos. Nie mogłem od niego uciec. Próbowałem, ale jakże uciec od czegoś, co siedziało w mojej głowie?! Koła roweru grzęzły w błocie. Minąłem zabudowania, światła malały za mną, a potem gasły, gdy droga opadała. W rozbłyskach trupiego światła ujrzałem w oddali zarys szeregu topoli. Gdy przejeżdżałem przez szosę, usłyszałem charakterystyczną melodię... Odrzuciłem rower. Na dróżce, prowadzącej na szczyt kopca, upadłem chyba z pięć razy. Podnosiłem się niezłomnie, a im bliżej byłem szczytu, tym więcej miałem sił. Wbiegłem do altany. Rzuciłem się na deski. Drżałem z zimna, ale pomimo zmęczenia, pomimo bólu w zwichniętej ręce wstałem, gdy tak rozkazał mi głos. Pioruny uderzały, gęste jak drzewa, ich światło ani na moment nie gasło. Wtedy spostrzegłem, że symbole nade mną żarzą się krwawoczerwono, jak stygmaty drewna. Kopiec znów żył i poprzez te znaki dawał tego dowód. Wtedy zacząłem rozumieć. Czytałem jak z otwartej księgi, nie wszystko, tylko niektóre zdania, wrywki... te najistotniejsze. Ogarniało mnie coraz większe zdumienie.

...nie lękaj się, wszystko przed tobą...

...nie poddawaj się, idź przed siebie, cały czas przed siebie, choćby na dno przepaści...

...potrafisz więcej, niż myślisz...

...twoje moce sięgają głębiej, niż ci się wydaje...

...to, czego tak pragniesz, może zostać spełnione...

...krzywda, która cię spotkała, może odejść w niepamięć...

...ale musisz iść, wciąż przed siebie, nie lękając się niczego...

KOMU W DROGĘ, TEMU CZAS

W prawo, czy w lewo? Gdy wędrowiec dociera do rozstaja, na którym brak drogowskazów, pewnie też zadaje sobie to pytanie. Skąd zna odpowiedź? Skąd wie, którą drogę wybrać? Głos podpowiada mi - przed siebie. Żeby nie mieć dylematów - zawsze prosto. Tak, tak będzie najlepiej. Zawsze prosto, choćby na dno przepaści. Nie drogą w lewo, nie w prawo, ale prosto przez łąkę. Teraz to ja jestem wędrowcem.

Więc idę, dźwigając plecak, z rękami w kieszeniach przez miejsca, gdzie niedawno kwitły smugi kaczeńców, wysepki chabrów, gdzieniegdzie upstrzone makami. Błyskają pioruny, a kopiec za mną coraz mniejszy... Odwracam się po raz ostatni i w świetle błyskawicy widzę, że ktoś stoi na jego szczycie, smagany podmuchami wiatru. Nagły dreszcz wstrząsa moim ciałem, bo zdaję sobie sprawę, że to stoję ja. Tam, w tej altanie, na zimnych deskach, wśród tajemniczych symboli miałem pozostać na zawsze. Wiedziałem to już teraz, choć potwierdzenie miało przyjść znacznie później.

Eryk Ragus, czerwiec 2002
rednar@poczta.onet.pl